

WIECZORY RODZINNE

TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI



Kaplica Matki Boskiej Ostrobramskiej na Cejlonie.

Staraniem arcybiskupa Zaleskiego, byłego legata papieżkiego do Indyi Wschodnich, wzniesioną została przed paru laty w mieście Kandy na wyspie Cejlon kaplica ku czci Matki Boskiej Ostrobramskiej, na rycinie naszej przedstawiona.

Któż nie zna choćby z rysunku cudownego obrazu Matki Boskiej Ostrobramskiej w Wilnie, oraz kaplicy nad starożytną bramą, w której on się mieści? W kaplicy tej Najświętsza Panna jest przedmiotem szczególnego nabożeństwa i czci

wiernych, zarówno jak w kaplicy Jasnogórskiej w Częstochowie. Oba te obrazy Swoje otoczyła Ona łaską i opieką nadzwyczajną, i stąd zdawna dążą tam rzesze pobożnych, szukających pociechy w smutkach i utrapieniach doczesnych. Serdecznie i podniosło zaznaczył to Mickiewicz, rozpoczynając najpiękniejsze swe dzieło „Pana Tadeusza” od słów:

„Panno święta, co jasnej bronisz Częstochowy
I w Ostrej świecisz Bramie...”

Brama, nad którą obecnie wznosi się kaplica, założoną została pod imieniem Miednickiej w końcu XV wieku, przy obmurowywaniu miasta Wilna. W roku 1508 Zygmunt Stary kazał ją kosztem swoim przerobić, podwyższyć, rzeźbą i malowaniem ozdobić. Wkrótce też zaczęto ją nazywać Ostrąbramą od przedmieścia Ostrego, na które się otwierała. Na tej to bramie znajdował się obraz Najświętszej Panny, przedstawiający Matkę Boską do połowy, z rękami na piersiach na krzyż założonemi, z dziwnie ujmującym wyrazem dobroci i zarazem powagi na pochylonej nieco twarzy. Obraz ten, który, jak powiada Kraszewski, stylem swoim należy do obrazów religijnych z przed V wieku ery chrześcijańskiej, był z początku zaledwie w mur tylko wpuszczony i osłonięty drzewiczkami drewnianemi od soty, zamieci i wiatru. Pod samym obrazem znajdował się ganeczek szczupły, do którego wiodły schodki niewielkie.

W połowie XVII wieku, Karmelici, posiadający kościół i klasztor tuż przy Ostrej Bramie, powszechną czcią obrazu pobudzeni, postarali się o zbudowanie niewielkiej drewnianej kaplicy, która następnie po pożarze w r. 1715, zamienioną została na murowaną w kształcie, w jakim istnieje obecnie.

Wchód do kaplicy urządzony jest z boku przy murze kościoła św. Teresy, lecz ponieważ mała ilość ludzi zmieścić się może w jej obrębie, większość w czasie nabożeństwa modli się pod gołym niebem, na ulicy, skąd przez trzy duże okna kwidać jej wnętrze ołtarz z obrazem. Cześć zaś dla tego świętego miejsca jest tak wielką i powszechną, że oddawna ludzie wszelkich wyznań, przechodząc lub przejeżdżając przez bramę, odkrywają głowy.

Oprócz zwyczajnych świąt, Ostro-Brama trzy razy do roku właściwe sobie obchodzi uroczystości, a mianowicie: w dzień opieki św. Józefa, (trzecia niedziela po Wielkiejnocy), na Zielone Świątki i w dzień opieki Najświętszej Maryi Panny, (trzecia niedziela listopada); każda ta uroczystość ściągą wielką ilość pobożnych z różnych stron.

Nie więc dziwnego, że arcybiskup Zaleski, urodzony w okolicach Kowna, pragnął zaznaczyć swą działalność misyonarską gdzieś pod równikiem, na krańcu innej części świata przez oddanie czci Matce Boskiej w tym właśnie obrazie, który od dzieciństwa ukochał. Wyspa Cejlon leży na południu półwyspu Hindostanu, odznacza się niezmiernie bujną roślinnością i klimatem chociaż gorącym, ale miarkowanym przez morze, które ją w okół oblewa. Pełno tam jeszcze wspaniałych pagód indyjskich, ale wśród mieszkańców przynika coraz bardziej, dzięki gorliwości licznych misjonarzy, światło wiary chrześcijańskiej i powiększa się ilość wiernych, których Orędowniczką najlepszą jest Najświętsza Matka Chrystusa Pana.

IMPROWIZACYA DEOTYMY

wnuczkom A. E. Odyńca

podziękowanie za lirę *).

Z szanownej mogily, przemówił duch miły,
I lirę przysłał mi w darze.
Z nim, jedną drużyną, o... widzę, jak płyną
Lat wielkich najwięksi pieśniarze.

W to dziwne narzędzie ich śpiewy labędzie,
Splynęły po strunach, jak rosa,
I przez to narzędzie wiadomem nam będzie,
Co mówią o ziemi niebios.

A. z Ch. Bozkowską.

PANNA MARYCHNA Z OPOROWA.

(Ciąg dalszy).

Marychna uściskała pocziwą dziewczynę i dała jej sznur koralu w zamian za bursztynę, które w niedzielę, jak przybiecała, zanieść miała Agacie, a które oprócz tego obiecała jej odkupić w Gdańsku. Długiemi bardzo wydały się jej godziny, oddzielające ją od niedzieli, a cóż dopiero sama niedziela, której część spędzić miała w tęsknem oczekiwaniu. Jak wszystkiemu wszakże, tak i tym pełnym niepokoju chwilom przyszedł koniec; około drugiej z południa, wyszedłszy z Jaśkiem naprzeciw Zofki, spotkała ją w dębowym zagajniku, nieco opodał od domu. Jaśko opatrzył wpiersz wszystkie dostępy, poczem usiedli na murawie, i Zośka rozpoczęła opowiadanie z wycieczki swej, która za zrządzeniem Bóżem dostarczyła jej ważnych poszlak.

Przebrana w przyodziewek Agatki, weszła do zamku, który ją przeraził swym ogromem. — Wszędzie tu — mówiła — pełno zbrojnego ludu, a na wałach śmigownice. Przeszliśmy most zwodzony na rowie głębokim, pełnym wody, za tem znów wał, usypany z ziemi i kamieni, podparty dębową palisadą, i znów most i rów i wał drugi, zdawało się, że nie będzie temu końca, aż wreszcie weszliśmy w dużą bramę sklepioną i w długi kurytarz. Ztąd dopiero przez wielką, jedną i drugą sklepioną izbę, pełną również żołnierza, weszliśmy do kaplicy. Piękny to, wysoki przybytek Bóży, okna ma w różnych kolorach, nie przymierzając tak, jak farny kościół w Toruniu. Leśniczy stanął przy drzwiach, więc i mnie nie wypadało się posuwać dalej. Pokłoniwszy się przed ołtarzem i ucałowawszy ziemię, zmówiłam krótką modlitwę i zanim się rozpoczęło nabożeństwo, poczęłam się pilnie rozglądać dokoła, jakby wiedzioną przecuciem, że zobaczę coś, co mi zająć powinno. W kaplicy oprócz żołdactwa było kilka kobiet, należących do służby zamkowej, jak mi to mówił leśniczy, ukłękłam więc obok nich wprost kraty żelaznej, umieszczonej w jednej ze ścian kaplicy, ponad stallami, w których zasiadać mieli mnichy rycerze. Ściany kaplicy pomalowane były misternie i pięknie. Na głównym ołtarzu i dwóch pobocznych, bo kaplica była obszerna, błyszczały ciężkie, kute srebrne lichtarze, a obraz Matki Boskiej Bolesnej zdobiły srebrne również wota, oraz sznury pereł i koralu. Modliłam się też serdecznie.

*) W czasie wspomnianego przez nas poprzednio jubileuszu Deotymy, pomiędzy innemi wnuczki A. E. Odyńca, współpracowniczka nasza p. Marya z Ch. Balińska i jej siostry, ofiarowały poetce w imieniu dziadka lirę z kwiatów, na co ona odpowiedziała powyższą improwizacją.

cznie do tej Matki Żalosej za biedną panią naszą i za wami, biednymi sierotami, miłościwa panienko, i widać, że modlitwy moje niegodnie wysłuchać musiała, bo ot zaraz potem... Ale cóż to za szmer w tem gąszczu leśnym, wyraźne łamanie gałęzi, jakby się przemykał zwierz dziki... Jaśko porwał się z miejsca gdzie siedział i podszedł cicho w stronę, w której posłyszano szelest, a Zofka umilkła strwożona, gdy Marychna przycisnęła ręką uderzając mocno serce. Poczekwały tak chwilę, aż Jasiek, podkradłszy się dalej, nagle zwrócił i przybiegł do nich widocznie przerażony. Nakazał im gestem milczenie i spieszny powrót do domu, sam zaś za nimi również pospieszył. Gdy się oddalili szybko z miejsca, i las się przerzedzał począł, przystanął nasłuchując, a gdy nie dosłyszał poza sobą najmniejszego szelestu, odetchnął głęboko, milczał wszakże i nie przemówił pierw, aż gdy znaleźli się wszyscy w komnatce panny Marychny.

— No, dzięki Bogu, uszliśmy niebezpieczeństwa — wyrzekł.

— Ależ jakiego? — cóż przez to powiedzieć chcecie — zapytały wraz obie dziewczęta, przerażone i drżące.

— No w człowieku, który nieco opodał nas obłamywał gałęzie leszczyny, torując sobie przejście w gęstwinę, podpatrzywszy go za pierwszym dosłyszonym szelestem, niewidziany od niego, poznałem Gwalberta.

Obie dziewczyny krzyknęły przerażone.

— Nie lękajcie się niczego, skoro was nie widział — rzekł uspokajająco Jaśko — nie ulega wątpliwości, że był on szpiegiem Ulrycha, ale nie idzie zatem, żeby miał co wiedzieć o waszych zamiarach i bytności w tej osadzie. To pewne tylko, że zamieszkuje w Sthumie, i dla tego unikać należy z nim spotkania.

— Ale uniknąć go niepodobna — rzekła zafrasowana Zofka — i to jeszcze utrudnia wykonanie naszych zamysłów.

— Przeczyć temu nie myślę, to też podwoić musimy ostrożności, a jednocześnie możemy przecież iść dalej wyznaczoną sobie drogą. Niech więc Zofka dokończy teraz swego opowiadania.

— Dobrze mówicie, Jaśku, powiedz-że nam Zofko, co zaszło dalej?

— Nie pamiętam już na czem stanęłam, taki uczulałam lęk w sercu podczas tej ucieczki naszej, podobno mówiłam wam, że ukłękłam wprost tej kraty w bocznej ścianie kaplicy i ławki, którą mieli zająć rycerze, obok kilku służebnych kobiet... Owoż kobiety te, miasto chwalić Boga, ciągle nieprzystojnie jakieś z sobą zamieniały szepty, a gdy się rozpoczęła Msza św., zerkwały na wszystkie strony, potrącając się łokciami. Starałam się ich nie słuchać, alłści nagle słów kilka, które wpadło mi w ucho, zajęło całą moją uwagę.

— Patrz, Ofko — rzekła jedna do drugiej — już za kratą siadła zakflefiona pani, a za nią stoi Ulrych...

Wypadł mi z rąk różaniec, zadrżałam i zwolna podniosłam oczy w górę... Za kratą ujrzałam rzeczywiście jakąś postać niewieścłą w grubej zasłonie i ponurego krzyżaka, stojącego przy niej, jakby na straży... Serce zabiło mi silniej, pewną już byłam, że to pani nasza, gdy dalsze słowa niewiast potwierdziły jeszcze to domniemanie...

— Widzę, widzę — odparła zagadniona — ale cóż mi z tego, skoro nie dowiemy się nigdy, co to wszystko znaczy. Rok już blisko, jak Ulrych pilnuje jak oka w głowie tej pani i więzi ją w narożnej wieży, a nikt jeszcze twarży jej nie widział prócz starego Wilhelma... Mówi on, że to siostra Ulrycha, że cierpi obłąkanie i brat w ten sposób nad nią czuwa, wyrobiwszy sobie u mistrza pozwolenie po temu, ale Bóg raczej wie, ile w tem wszystkiem prawdy...

— Więcej nie słyszałam, bo mówić przestały — ciągnęła dalej Zofka — ale pewną jestem, że to była pani nasza, że ona jest tą tajemniczą niewiastą...

Panna Marychna tak była wzruszona, że, nie rzekłszy i słowa, padła tylko na kolana i modliła się, łkając... Gdy powstała, rzuciła się na szyję Zofki.

— O, czemże ci odwdzięczę przysługę, jaką mi oddałaś — rzekła, a potem, gdy pocziwa dziewczyna ze łzami całowała jej ręce, dodała, zwracając się do Jaśka:

— Dziwna otucha wstąpiła we mnie, wiem ci ja, że dużo jeszcze wody upłynie, zanim wyswobodzić zdołam matkę moją kochaną, (bo nie wątpię, że za pomocą Bożą dokażę tego) alłści myśl sama, że mieć mogę tę nadzieję, jest mi już wielką pociechą. Mniemam też, że Bóg mię natchnie, co mam czynić obecnie.

— Najpierw musimy się dokumentnie przekonać, czy w istocie jejmość nasza jest tu więzioną, a potem, potem trzeba się z nią porozumieć, aby ukartować zamiary ucieczki...

Słuchając słów tych, Zofka, która już poznała wnętrze groźnego zamku i zmiarkowała, jakie przeszkody wypadałoby zwalczyć, aby uwolnić biedną panią, westchnęła tylko zeicha, ale nic nie rzekła, jeno wzniosła wzrok błagalny w niebo w przekonaniu, że ztamtąd jedynie może spłynąć dobra rada i pociecha.

— Na przyszłą niedzielę pójdziecie znów ze mną do zamku — rzekł, patrząc na nią uważnie Jaśko — może tam zachwycicie języka, a w każdym razie rozpatrzyć się lepiej we wszystkim.

— Muszę teraz biedz do córki gajowego aby jej oddać przyodziewek i podziękować za dobre serce, zobaczę przytem, czy da mi się wyprosić u niej pozwolenie zajęcia powtórnie jej miejsca...

— No, to spieszcie się — rzekł Jasiek — bo niedługo słońce zapadnie, a ja tymczasem pójde podpatrywać, azali nie napotkam znów Gwalberta.

— Ależ Jaśku! — rzekła zaniepokojona Marychna — cóż będzie, jak cię zobaczy i pozna, nie czyń tego...

— Oho, mądrym ja panienko na te rzeczy i nie dam się przyłapać. Wezmę poprostu opończę z kapturem na głowę, w którym tylko dwa otwory na uszy, a zresztą twarz zakryta. Ubieram się tak gdy idę podbierać w lesie miód pszczół dzikich... W opończy tej z okutym kijem i nożem do wycinania plastrów, ktokolwiek mię spotka, mniemać będzie, że ma do czynienia poprostu z pasiecznikiem, wyszukującym w lesie dzikich barci.

Marychna nie miała nic do powiedzenia, zatem Jaśko i Zofka poszli każde w swoją stronę, ona zaś pobiegła do zwierzyńca, gdzie, patrząc na uciężne skoki młodych sarenek i igrając z oswojonemi ich matkami, najmilsze pędziła gozdziny.

Zaledwie jednakże leśne zwierzęta, którym przyniosła tam białego kołacza, poczęły się zbiegać do niej po ofiarowany sobie przysmak, zaturkotało w dziedzińcu i wkrótce potem wojewoda wszedł do wirydarza. Panna Marychna podskoczyła zarumieniona i ucałować chciała rękę zacnego opiekuna, rozradowana nadspodziewaniem jego przybyciem, ale wojewoda rękę szybko usunął, a obejmując jasną główkę dziewczęcia z tklivością ojca ucałował jej skronie.

— O jakież wczas przyzywacie — rzekła Marychna — właśnie myślałam, że wypadłoby mi zaciągnąć porady waszej co tu począć dalej bo mam pewne poszlaki, że matka moja jest uwięziona w Sthumie!

Tu opowiedziała wszystko, co słyszała od Zofki. Pan wojewoda wobec tej pomyślnej nowiny zamyślił się głęboko. Należało bowiem działać z wielką ostrożnością, aby zmylić chytrą czujność krzyżacką i zapewnić sobie współników w ich zamku. Nie dość tu było bitych groszy, aby sobie utorować drogę, bo wśród knechtów karność była wielka, i obawa powstrzymywała od przyjmowania datków. Pomieszało jeszcze szyki przybycie Jaśka, który oznajmił, że Gwalbert uwił się po lesie, gdy go poszedł śledzić powtórnie, a jednocześnie Stoigniew, który znalazł się tam przypadkiem, wybierając z gniazda młode wiewiórki, aby je osadzić w zwierzyńcu, poznał w nim leśniczego Wilhelma. Gwalbert zatem i Wilhelm, będąc jedną i tą samą osobą, unikał spotkania z wojewodą w domu panny Marychny. Niewątpliwie musiał on uczestniczyć w porwaniu pani Oporowskiej i dopomagać Ulrychowi w jej uwięzieniu. A teraz cóż znaczyły jego wycieczki do lasu, gdzie mógł być łatwo poznanym? Wojewoda mniemał, że Ulrych knował znów jakieś nieczne zamiary, w których potrzebował sprytnej pomocy swego zausznika i dlatego wy-

prawił go z zamku, aby mu ułatwił ich spełnienie. Postanowił więc sam zamieszkać tu przez pewien przeciąg czasu i czekać przebiegu dalszych wypadków, aby wiedzieć, co czyścić należało.

Wieczorem tymczasem nadeszła Zofka rozpromieniona, bo ojciec Agatki powiedział jej, że burgrabia zamkowy prosił go, aby mu wynalazł dziewczynę do pielęgnowania starej matki, która z nim mieszka, a zaniemogła obłożnie. Zofka więc miasto wpraszać się na nabożeństwo do kaplicy powiedziała mu zaraz, że sprzykrzyła jej się służba u Stoigniewa i że rada byłaby znaleźć miejsce w zamku, w którym było gwarno i ludno, tem więcej, że wychowana przez pobożne mniszki Toruńskiego klasztoru, około chorych chodzić umiała i znała się nawet na lekach. Leśniczy ujęty pomocą daną Agat-

ku o ile miała po temu ochotę, niewolno jej było tylko wydać się poza obręb warowni, bo każdy, co w niej czasowo zamieszkiwał, uważany był jako więzień. Zofka nie wiedziała wpierw o tem, nie przeraziła się wszakże rachując na jakiś traf szczęśliwy, który jej pomoże wydostać się nazewnątrz, gdy tego zajdzie potrzeba. Uuysliła tymczasem obejrzeć wszystko, co się jej zdało godnem uwagi, a przytem poznać się z zamieszkałymi tu kobietami. Były to żony lub matki knechtów, używane do prania, gotowania i innych posług. Wszystkie ponure i gniewliwe, z początku krzywo patrzyły na nowo przybyłą, powoli wszakże gadatliwość niewieścia wzięła górę nad niechęcią i zaprzestały jej unikać. Zofka ze swej strony starała się zaskarbić ich łaski, czyniąc im różne drobne przysługi i dopomagając w pracy. Usłyszała



Kozy tagenburgskie.

ce w czasie jej smutnego wypadku, nie wątpił, że burgrabia nie znajdzie nikogo lepszego i stanęło, że zaraz nazajutrz za prowadzi Zofkę do służby.

Wypadki składały się same przez się w ten sposób, że widocznem było zrządzenie Boże, aby pobożna córka czyniła staranie o wyzwolenie matki, jakkolwiek Bóg tylko również wiedzieć raczył, jaki uwieńczyć je miał skutek.

Nazajutrz, skoro świt, Zofka, przebrana w ubiór okolicznych wieśniaczek, wybrała się z leśniczym do Sthumu, a w parę godzin potem odmawiała pocichu pacierze, siedząc u łóża bezwładnej staruszki.

Matka burgrabiego była od roku dotknięta niemocą, która czyniła coraz większe postępy. Należało się zająć ochędotwem koło niej, nakarmić ją, przydzieć, w wolne zaś od tych zajęć chwile burgrabia pozwalał spędzać nowej służącej wedle jej upodobania, to jest mogła chodzić po zam-

też niezadługo z ust ich powtórzenie opowiadań o nieznanym pani, a nadto jeszcze, że krata, za którą ją widywano w kaplicy, wychodziła na korytarz, gdzie znajdowały się drzwi jej więzienia. Nieznajoma miała być siostrą komtura Ulrycha, cierpiącą obłąkanie... Z początku, gdy zapewne więcej była chorą, nie widywano jej wcale przy nabożeństwie, odkąd wszakże bywać tam poczęła, miała się podobno lepiej i nieraz nawet modliła się u kraty przed ołtarzem w dniu powszednie, gdy nikogo nie było w kaplicy. Zofce dość już było na tem. Postanowiła obecnie prosić burgrabiego, aby jej wolno było odmawiać w kaplicy wieczorne pacierze. Zadowolony z niej i rad, że niema innych wymagań, burgrabia nie odmówił tej prośbie i jakkolwiek w ogóle mieszkańcom zamku wolnym był dostęp do kaplicy jedynie w godzinach nabożeństwa, sam otworzył drzwi boczne Zofce i pozwolił jej modlić się przez godzinę całą. Drżąca i wzruszona ukłękła,

KOZA.

przerzucając szybko ziarnka różańca. Jakkolwiek spoglądała od czasu do czasu na kratę, niemniej gorące zasyłała prośby do Boga, aby pobłogosławił jej zamiarom i nie spostrzegła, gdy godzina minęła i burgrabia, uchyliwszy drzwi kaplicy, zawezwał ją do wyjścia. Rzuciła wtedy przelotny wzrok na kratę, lecz nikogo tam nie dostrzegła.

— Cierpliwości! — pomyślała — może za drugim razem będę szczęśliwszą.

Odtąd codziennie burgrabia wpuszczał ją do kaplicy o wieczornej godzinie. Rad był, że znalazł do chorej pobożną dziewczynę, która nie pragnęła innej rozrywki, spełniając wzorowo swe obowiązki. Po kilku dniach pozwalał jej samej brać klucze i cieszył się, że powracała zawsze w oznaczonym czasie. Pewnego razu wszakże spóźniła się, a powróciwszy

Jakże często, gwoździ jedynie niczem niewytłomaczonemu uprzedzeniu, darzymy otaczające nas istoty jużto zbyt wielką czułości i opieki, już też niechęcią jakąś i zaniedbaniem. Temu ostatniemu losowi uległa, niestety, oddawna w gospodarstwie naszym poczciwa koza, ta „krowa biednych”, jak je z pewną pogardą zwykł lud wiejski nazywać.

A jednak ilarakie to korzyści odpowiednio prowadzony chów tych zwierząt domowych może przynieść swym opiekunom. Nie dość bowiem, że mleko kozie, uznane przez lekarzy jako napój zdrowy i odżywczy, zalecanem jest szczególnie dzie-



Kozy afrykańskie.

była tak wzruszoną, że zapomniała zagrześć ziółek dla chorej i dopiero gdy usłyszała kroki burgrabiego, który na szczęście później niż zwykle powracał, zakrzętnęła się żwawo około zwykłych swych zajęć. Dzień następny zdał się Zofce bardzo długim i gdy się tylko zmierzchać zaczęło, pospieszyła do kaplicy, szczerze za sobą drzwi zamykając. Przykleknąwszy następnie i pomodliwszy się przed ołtarzem, zajęła zwykle swe miejsce wprost kraty, ukrywając się wszakże tym razem poza pobliskim filarem. Zaledwie to uczyniła, zaskrzypiały drzwi, i dało się słyszeć ciężkie stąpanie, a zaraz potem komtur Ulych wyjrzał z poza kraty, rozglądając się po kaplicy. Nie dostrzegłszy w niej nikogo, cofnął się i wkrótce, uchyliwszy drzwi korytarza, wprowadził zasłoniętą postać niewieścią.

(d. c. n.)

ciom i osobom słabym, nie dość, że różne francuzkie i angielskie sery, za które drogo u nas płacić trzeba, właśnie z koziego mleka przeważnie są wyrabiane, ale nadto niektóre odmiany tych zwierząt dają futra piękne i oryginalne, na różny zaś sposób wyprawiane w fabrykach zagranicznych, naśladując doskonale najdroższe w handlu gatunki futer. Któż wreszcie nie wie, że długi, miękki włos kóz kaszmirskich i tybetańskich używanym jest do najpiękniejszych tkanin wełnianych, i że skóra kozia jest najpodatniejszą zarówno na dobre rękawiczki, jak i na trwałe obuwie. A w zamian za tyle korzyści, jakże skromnym bytem zadawałaby się zwyczajna koza, jako zwierzę domowe. Ladażaki chwast, lada zielenina służy jej za dostateczny pokarm.

Cenne te przymioty kozy umieli już dawno uznać praktyczni Anglicy, a wzięwszy zwierzę w troskliwszą opiekę, założyli tak zwane „Stowarzyszenie kozie”, do którego należą

zarówno bogaci lordowie, jak najbiedniejsi pasterze. Stowarzyszenie te wydaje broszury o hodowli kóz, oraz urządza wystawy i konkursy dla najpiękniejszych, lub największą korzyść przynoszących okazów, starają się tym sposobem o podniesienie hodowli w całym kraju.

Taki sam kierunek w tym dziale gospodarczym przyjęły też Norwegia i Dania, a wyjątkową troskliwością otaczają kożę w górzystej Szwajcarii, dając pierwszeństwo obok innych odmian „kozom tagenburskim”, nazwanym tak od górzystej miejscowości „Tagenburg” w kantonie St. Gallen, będącej ojczyzną żyjącego tam jeszcze w stanie dzikim tego gatunku. Kozy tagenburskie, przedstawione na rycinie naszej, odznaczają się przede wszystkim tą cechą zewnętrzną, że zarówno samiec, jak samica, pozbawione są rogów, tej poważnej ozdoby starych kozłów, których w zamian właściwym strojem, jest spora kępka długich włosów, wyrosłych na czole, i znacznie dłuższa broda niżej pyszczka. Włos na grzbiecie długi i falisty, barwy w odcieniu szare, zaś krótki na kształtnym łebku w symetrycznie zarysowane plamy białe, spód i nogi również białe czynią z bystrej i zwinnej kozy tagenburskiej bardzo ładne stworzenie. Dodajmy jeszcze, że charakteru łagodnego daje się ona łatwo obłaskawić, nie odczuwa też zbyt zmian klimatycznych, spowodowanych przeniesieniem w inne kraje, a mleko jej jest bardzo dobre.

Druga rycina nasza wyobraża gatunek kóz, których ojczyzną jest Afryka nad Nigrem, w środkowym Sudanie, a których pierwsze w Europie okazy przywiezione zostały niedawno do zoologicznego ogrodu w Berlinie. Wielki, choć wysmukły, tułów tych zwierząt, wznosi się na nogach wysokich, kształtnych, jak u antylopy, zakończonych kształtnymi kopytkami. Ogon długi, linia grzbietu od szyi ku tyłowi mocno spadzista, uszy duże i miękie, spadające na dół po obu stronach głowy, wreszcie silnie zarysowany garb na nosie i długie, szeroko od głowy wykręcone rogi u samicy, oto w głównych zarysach opis „kozy kausza”, który dopełni wzmianka, że sierść jej barwy brązowej z białą jest krótką i posiada piękny połysk.

Sądząc z poznanych okazów, charakter tych zwierząt musi być łagodny; jednak gdy koza zawsze jest wesołą i skaczącą, kozieł bywa czasem mrukliwy i niezadowolony. Nie ulega też wątpliwości, że możnaby je w krótkim czasie zupełnie oswoić, kiedy już teraz mało się troszczy o licznie otaczającą ich publiczność w ogrodzie zoologicznym, a nawet zbliżają się z widocznym zaufaniem do swego dozorczy, którego rozpoznawać już się przyuczyle.

Jeżeli teraz porównamy między sobą oba gatunki kóz, o jakich obecnie mówiliśmy, to dojdziemy do słusznego przekonania, że zachodzą tu różnice tak znaczne, iż trudno byłoby, z pozoru sądząc, złączyć je do tejże samej rodziny. A jednak dwa te okazy nie stanowią bynajmniej wyjątku, począwszy bowiem od pospolicie u nas znanej „kozy domowej” i przechodząc kolejno wszystkie dotychczas już bardzo liczne poznane, dziko żyjące odmiany, a więc do wspaniałego „kozła skalnego”, żyjącego obecnie już tylko w Pemoncie, do zwinnej antylopy, której ojczyzną są lesiste wzgórza południowej Afryki, pięknych kozie skalnych, spotykanych w Alpach, Tyrolu, Bawarii, w górach Pirenejskich, Karpackich i na Kaukazie, wreszcie do najurodzajniejszych i niezrównanie wdzięcznych gazelli, których obszar zamieszkania rozciąga się od północnych afrykańskich krain, do skalistej Arabii, jeżeli pominiemy już wszystkie pośrednie odmiany, utworzymy sobie wszakże łatwo pojęcie, jak bogatą i różnorodną jest ta rodzina.

To też przyrodnicy, którzy niejednokrotnie poświęcają życie całe na zbadanie i rozklasyfikowanie choćby jednego tylko gatunku z wielkiego działu zoologii, nie zdołali dotąd o kozach ostatniego wyrzec słowa, wyznając otwarcie, że dział ten przedstawia jeszcze bardzo bogate pole do poszukiwań naukowych.

SFINKS ŁODOWY,

przez

JULIUSZA YERNE'A,

przekład M. D.

(Dalszy ciąg).

Wzruszenie to wszakże i ten ruch gwałtowny wyczerpuje resztkę sił Artura, tak, że pada na ziemię z głuchym łoskotem bezwładnego ciała. Chwila jeszcze, a ostatnia isierka jego życia byłaby bezpowrotnie zagasła, gdyby August nie był nadszedł wreszcie i udzielił koniecznej pomocy.

Butelka ze świeżą wodą przyłożona do ust zemdlonego wypróżniła się niebawem, a ten nektar, najlepszy ze wszystkich, pokrzepił go do tego stopnia, iż w parę godzin potem mógł wysłuchać, przy blasku skrytej latarki, opowiadania przyjaciela o wypadkach, zaszłych na okręcie od chwili opuszczenia portu.

Zaraz więc po wypłynięciu na pełne morze, powstają wśród załogi składającej się z 36 ludzi, niezadowolenia i bunt, co uniemożliwia Augustowi zejście do kryjówek Artura. Czwartego dnia żeglugi, pod przywództwem kucharza, niepokojnego Murzyna, przychodzi do krwawych walk, w których ginie większa część stronników kapitana, on sam zaś wraz z czterema najzaufanymi sobie ludźmi rzucony jest do łodzi i w okolicy wysp Bermudów zostawiony na łasce fał.

Po takim usunięciu starego Bertola, objął na okręcie dowództwo pierwszy oficer, człowiek chciwy i dzikich instynktów, który zamierza oddać się rozbójnictwu morskemu.

August zawdzięcza jedynie zachowanie życia opiece powroźnika okrętowego, który pochodził z indyjskiego plemienia Upsarakas, i nazywał się Dick Peters. Jednakże z rozkazu kapitana okuty został w kajdany i zamknięty w kajucie, stając się na dłuższy czas zupełnie obezwładnionym. Nieustannie wszakże dręczony myślą o losie Artura, uwolnił się wreszcie cudownym jakimś sposobem z kajdan, i gdy w żaden sposób przywalonej ciężarami kłapy otworzyć nie mógł, wykroił kieszonkowym swym nożem niewielki otwór w deskach dzielących go od dolnego piętra okrętu i wpuścił tam wiernego Solta z przywieszoną karteczką u szyi. Tymczasem minęło znowu dni kilka wśród nieustannych walk między pozostałymi na okręcie, tak, że bez narażenia na niechybną śmierć, zarówno siebie jak przyjaciela, nie mógł pójść do niego aż do owej chwili, w której mu pospieszył z pomocą. Nieliczna już wreszcie załoga, rozdzieliła się jeszcze na dwie partye. Jedną z Dick Petersem na czele chciała się skierować do Przylądka Zielonego, drugą do wysp oceanu Spokojnego.

W takim położeniu stosunków na Grampiusie, przedstawiło się przyjacielom trudne do rozwiązania zadanie, wyszukania dla Artura nowej kryjówek, wobec zupełnej niemożności pozostawienia go dłużej w dotychczasowej, nietylko już ze względu na zatrute powietrze, ale nadto z uwagi, że porzucony tam ładunek, przy silnem kołysaniu okrętu, w ciągłym również zostawał ruchu, grożąc każdej chwili przygnieceniem.

Po długich namysłach August wynajduje dla Artura jakiś bezpieczny kątek w wyższych piętrach. Okazuje się, że Solt nie uległ wściekłości, lecz dręczony był tylko szaloną gorączką pragnienia, która ustąpiła niebawem, skoro wreszcie dostał wody.

Ponieważ Dick Peters nie przestawał okazywać swej życzliwości Augustowi, przeto syn nieszczęsnego kapitana, począł marzyć o objęciu rządów na okręcie, gdy znowu z powodu spotkania małego żaglowca, powstają nowe walki wśród załogi, z której jedni chcieli koniecznie ścigać i złupić statek, wbrew woli drugich.

Po tym bezustannym krwi rozlewie, pozostaje na Grampiusie wraz z ukrywającym się ciągle Arturem Prymem 13-tu tylko ludzi, rozdwójonych jeszcze niezgodą. Gdy więc nadchodzi szalona burza, bezładnie umieszczony na spodzie ładunek, rzucający jest o ściany starego okrętu tak, iż tworzą się wkrótce uszkodzenia, któremi woda poczyną wdzierać się do wnętrza.

Jedynie energiczne użycie pompy i spieszne załatanie otworów, może ocalić statek od największego niebezpieczeństwa. Niema jednak nikogo, któryby się chciał tem zająć, bowiem nagle śmierć jednego z majtków należących do partii Dick Petersa, śmierć z trucizny podsunętej ręką starszego oficera, ostrzega tamtych, aby bez zwłoki czasu, usunęli przeciwników.

W tej krytycznej chwili August opowiada Petersowi wszystko co dotyczy Artura, który też zaraz wychodzi z ukrycia i oświadcza się, że stanie po ich stronie.

Przeciwnicy wszakże mimo tego mają jeszcze przewagę w liczbie. Zdecydowany na wszystko Peters, wrzuca do morza jednym silnem pchnięciem majtką, stojącego na straży, co mu tem łatwiej przychodzi, że wzburzone wody szalejącą wciąż burzą podzwrotnikową, rzucają okrętem, jak drobną lupiną.

Pozostali zwolennicy starszego oficera, do których chwilowo przyłączył się kucharz, uctwowali właśnie w kajucie kapitana, i chociaż ogólnie byli już w stanie nietrzeźwym, jednakże zdaniem Petersa, wypadało działać z możliwą ostrożnością.

Tu Arturowi Prym przychodzi myśl, przebrania się za otrutego majtką i występując w roli tegoż, podzielać na zabobonne zwykle umysły marynarzy.

Sztuczka ta wywołuje nadspodziewane wrażenie, bo zaledwie oficer zobaczył niby widmo swej ofiary, krzyknął przeraźliwym głosem i padł martwy na ziemię.

W tejże chwili ukryci za drzwiami Peters i August z psem, wpadają do kajuty i rozpoczyna się walka, w której giną wszyscy biesiadnicy, prócz jednego majtką Richarda, człowieka zupełnie biernego.

Tak więc z całej załogi 36 ludzi, pozostaje na Grampiusie zaledwie 4-ch i to w chwili tak ważnej, w której trzeba było działać z całą energią i znajomością rzeczy, by opóźnić o ile można nieuniknione już zatonięcie okrętu.

Napróżno jednak usiłowano coś rozpocząć. Burza zdawała się wzmacniać ciągle, a przód Grampiusa obciążony wodą coraz głębiej zanurzał się w falach, tak, że te co chwila zalewały pokład.

Kołysanie statku doszło do takiej siły, że, aby nie porzucić się o jego ściany lub nie wpaść do wody, musieli się wszyscy poprzywiązywać linkami na całą prawie dobę, do stale umocowanych przedmiotów.

Gdy wreszcie szalejący żywioł uspokoił się nieco, na tonącym Grampiusie rozpoczynają się znowu dnie niewysłowionej męczarni, spowodowanej brakiem wody słodkiej i jakiegokolwiek żywności; wszystkie bowiem zapasy zalane przez dłuższy już czas na spodzie okrętu, przeszły w stan cuchnącej i trującej zgnilizny.

Po szczegółowym opisie tortur przez jakie przechodzą nieszczęśliwi ci ludzie następuje wstrętna scena ciągnięcia siołnek, których wyrokiem majtek Richard pada pod nożem Petersa, by krwią i ciałem swoim uratować życie pozostałym.

Upały podzwrotnikowe i przejazd jakiegoś tajemniczego statku, przewożącego ciała umarłych, których wyziewy zanieczyszczają powietrze, sprowadzają śmierć Augusta.

Nareszcie okręt tonie, a pozostali przy życiu Artur Prym i Dick Peters, szukają ratunku na przewróconej łodzi, żywiąc się przez dni kilka przyczepionymi do jej ścian ślimakami, aż wreszcie 4 sierpnia spotykają żaglowiec „Orion”, którego kapitan spieszy im na ratunek i gościnne daje schronienie.

Jakkolwiek cała ta pierwsza część utworu Edgarda Poë przepelniona jest samymi nadzwyczajnymi zdarzeniami, jednakże trudno nam stanowczo twierdzić, aby przekraczały one

granice wszelkiej możliwości, czego już w żadnym razie nie możemy powiedzieć o części drugiej, gdzie rozbujała fantazja autora nie kępuje się niczem zgoła!

Lecz nie uprzedzajmy faktów...

Artur Prym więc i Dick Peters przyjeżdżają na Oriona w stanie budzącym rzeczywiste współczucie, znajdują się otoczeni taką opieką i staraniem, że po upływie dwóch tygodni, zostało im zaledwie wspomnienie przeżytych cierpień. Natura bowiem ludzka ma wiele odporności w sobie i bądź co bądź dąży zawsze usilnie do równowagi i utrzymania życia.

Drogą, jaką podążał kapitan Oriona, Wilhelm Guy, była właśnie ta sama, którą zakreślał teraz Halbran, lecz w odwrotnym kierunku. Gdy zatem 13 października ominął wyspę księcia Edwarda, a następnie wyspy Crozet, stanął u wysp Kerguelen, które niedawno temu z takim zadowoleniem opuścił, a gdzie on przybywał dla łowów na foki.

Trzy tygodniowy tam pobyt dał mu możność obfitych zdobyczy, ale właśnie też tutaj ulegając namowom Artura Pryma, zdecydował się puścić w awanturyczną podróż do podbiegunowego morza, i jako dowód tego postanowienia zostawił ów list w butelce, który odnalazł, lecz zapewne w wyobraźni swej tylko, chory mój kapitan.

Opuszczając Kerguelen 12 listopada, żaglowiec Orion podążył z powrotem do Tristan d'Acunha, gdzie zatrzymał się dni kilkanaście i 5-go grudnia, popłynął do nieznanych i dotąd na żadnych kartach geograficznych nie oznaczonych wysp Aurora.

Dnia 12 stycznia Orion dąży już wprost ku biegunowi.

Ominą szczęśliwie licznie płynące kry olbrzymie, okrąża i znajduje przejście wśród gór lodowych, przekracza linię polarną i wydostaje się cudownie pod 81° szerokości połud. a 42° długości zachodniej, na równe, spokojne morze, którego wody posiadają ciepła 1,11 Celsjusza, a powietrze nad nim dochodzi 8° Cel. wyżej zera.

Każdy przyznać musi, że już tutaj Edgard Poë dowolnie fantazyuje; jest bowiem rzeczą pewną, iż nikt nie posunął się dalej ku południowemu biegunowi od kapitana Wedell, który w 1822 roku, nie zdołał przejść nawet 74 równoleżnika. Lecz Artur Prym, albo raczej Edgard Poë opowiada zarówno ten fakt jak i następne, z przekonaniem dochodzącym aż do naiwności.

Przedewszystkiem Orion nie spotyka już tam ani śladu lodowców, przeciwnie, powierzchnię morza rozweselają całe stada ptaków, wśród których znajdują się olbrzymie pelikany, z mięsem tłustem i bardzo smacznym, o czem przekonano się, zabiwszy jednego wystrzałem z fuzji.

Niebawem zauważono łód jakis, który okazuje się małą wyspą. Kapitan Wilhelm Guy nazywa ją ku pamięci wspólnika swego wyspą Bennet.

Ostrzegam jednak poufnie czytelnika, by nie fatygował się napróżno odszukiwaniem tej ziemi na jakiegokolwiek karcie, bowiem istniała ona jedynie w imaginacji autora.

Oczywiście, w miarę zbliżania się żaglowca do bieguna, widocznem jest coraz mniejsze zbaczanie igły magnesowej, coraz łagodniejsza temperatura powietrza i wody, z lekkim powiewem wiatru od północy i czystym, pięknym szafirem nieba. Jasność dnia trwa teraz bez przerwy. Mimo tak przyjaznych warunków, wypadki skorbutu wśród załogi decydują kapitana do odwrotu, lecz ulega znowu namowom Pryma i płynie jeszcze dalej, czego nie żałuje ostatecznie, gdy 18-go stycznia zauważono znowu jakąś ziemię. Była to wyspa należąca do liczego archipelagu, ciągnącego się ku zachodowi.

Żaglowiec skierował się ku niej i stanął w oddaleniu kilkunastu sięgów na kotwicy. Załoga otrzymała broń, a Dick Peters i Artur Prym spuścili się do łodzi.

Tymczasem w drodze zostali zatrzymani przez cztery łódki, napełnione ludźmi, „ludźmi nowymi”, jak ich nazywa opowiadanie.

Byli to krajowcy czarni, jak posągi z hebanu, odziani skórą zwierząt, również czarnych, i zbrojni w dziwaczne jakieś narzędzia. Ponieważ nie okazali wrogiego usposobienia,

a tylko ustawicznie powtarzali słowa: *anamoo-moo* i *lama-lama* przeto Artur Prym zawrócił z powrotem, a poznawszy z gestów przywódcy, Too-Wita, że tenże chciałby zbliżyć zobaczyć statek, porozumiał się z kapitanem, i niebawem kilka postaci czarnych pojawiło się na pokładzie Oriona.

Podziw ich dla wszystkiego na co spojrzeli, nie miał wprost granic. Żadnego przedmiotu nie śmieli dotknąć rękoma, a pocałunkami tylko okazywali swe uwielbienie, jak gdyby zagłowiec był jakąś świętością lub istotą żyjącą.

Zachęcony tem łagodnem usposobieniem krajowców, kapitan Wilhelm Guy poleciwszy załodze pilną straż nad wszystkim, udał się z kilku jeszcze ludźmi na zwiedzenie wyspy.

Kierując się za miejscowemi łodziami. Łódź kapitana ominęła liczne rafy, znajdujące się u brzegów lądu, które tworzył czarny, jak węgiel, piasek.

— Cóż to za dziwna kraina, ta ziemia Tsala! jeżeli damy wiarę opowiadaniu Pryma.

Drzewa i rośliny tamtejsze niepodobne są w niczem do znanych gatunków na całej kuli ziemskiej, a równie jak piasek na brzegu morskim, tak cały grunt tej wyspy oraz dziwacznych kształtów sterczące skały, składają się z części mineralnych, obcych zupełnie uczonemu naszemu światu.

Co więcej, woda nawet w płynących tam strumieniach, nie ma przezroczystości naszych wód, a spójność jej cząstek tak jest małą, że „przecięta” ostrzem noża, nie łączy się zaraz, lecz długo oddzielnemi płynie smugami.

Aby się dostać do pierwszej osady na wyspie, trzeba było przejść pieszko około trzech mil angielskich.

Żadnych wszakże chat, choćby najlichszych, krajowcy nie znają, a rozpięte namioty z czarnych skór zwierząt domowych, tworzą nędzne dla wszystkich schronienia. Licznie spotykane tam czworonogi, przypominają nieco pospolite nasze świnie i owce, wśród których chodzą sobie swobodnie oswojone albatrosy i czołgają się większe i mniejsze żolwie.

(d. c. n.)

Z DALSZEGO ŚWIATA.

Największe miasta w świecie. — Obchody świąt narodowych amerykańskich. — Nowe wynalazki. — Czarne lisy.

Londyn mający 5,600,000 mieszkańców, jest największym miastem w świecie, drugim więc z kolei będzie obecnie Nowy York, który zamierzają połączyć z najbliższymi miastami jak Brooklyn, Richmond i innemi niezbyt odległemi. Długość nowego miasta tego, wyniesie 32 mile angielskie, a 12—18 mil ang. szerokość. Wielki ten Nowy York składać się będzie z pięciu dzielnic: Manhattan (stary New-York) 1,825,000, Broux 136,000, Brooklyn 1,132,544, Queens 150,000 i Richmond 80,000 mieszkańców. Długość ulic wyniesie 2,800 mil angielskich, a długość brzegów morskich 300 mil ang. Ko-

ściołów różnych wyznań będzie 1,150, parki pokrywać będą powierzchnię 7,000 akrów kwadratowych. Już jest wielu kandydatów na urząd pierwszego burmistrza Wielkiego Nowego Yorku.

W roku zeszłym powstało w Paryżu stowarzyszenie dawnych wychowalców uniwersytetów północno-amerykańskich, mające na celu uroczyste obchodzenie świąt narodowych. Z tego powodu 22 lutego Amerykanie obchodzili 165 rocznicę urodzin Waszyngtona, 2 maja przypadała rocznica zjednoczenia ich ojczyzny. W pamiętnym dniu tym w miastach i po wsiach związku, obywatele w towarzystwie starych żołnierzy roznosili pełne kosze kwiatów, któremi obrzucali groby poległych w wojnie domowej.

Żyjemy w epoce wynalazków, które w niezbyt jeszcze dawnych czasach uważane były za nieprawdopodobne. Obecnie znów jest na porządku dziennym podróż do Ameryki w trzy dni czasu odbyta, obok ulepszenia telegraficznego, które zastąpi komunikację pocztową. Jak donoszą pisma angielskie, jeden z obywateli Stanów Zjednoczonych Ryszard Planten obmyślił statek, mogący płynąć z szybkością 40 węzłów na godzinę. W mieście Providence w Stanach Zjednoczonych, niebawem według planów Plantena, rozpocznie się budowa statku parowego, opatrzonego całym systemem śrub, których obrotu nada jego ruchowi niezwykłą szybkość. Statek mający długości 60 metrów, formą zewnętrzną nie będzie się różnił niczem od statków parowych, a jego doskonałość polegać będzie na ulepszonym mechanizmie, głównie zaś na czternastu śrubach, poruszanych elektrycznością.

Ważne również odkrycie dokonane zostało w zakresie telegrafu, dzięki któremu będzie można przysyłać po 3,000 słów na minutę. Wynalazcą nowego aparatu jest profesor Crehore, dyrektor departamentu elektrycznego w Dartmouth College. Spodziewa się on, że dzięki jego odkryciu, będzie można nie tylko przyjmować i przysyłać po 3 000 słów na minutę, ale także notować je automatycznie. Sądzi zatem, że dzięki temu ulepszeniu, porozumiewanie się przez pocztę ustąpi komunikacyom telegraficznym.

Czarne lisy są coraz rzadsze w Ameryce, ceny ich więc wzrastają, tak, że obecnie skóra czarnego lisa kosztuje cztery razy tyle, co skóra lisa niebieskiego. Pewien Amerykanin postanowił przeto zająć się ich hodowlą. W tym celu nabył jakąś wyspę na północy Ameryki, a myśliwi z Alaski dostarczyli mu kilka żywych okazów, które tam puścili. Lisy nadspodziewanie prędko się rozmnożyły, a hodowca ich robi znakomite interesy. Wyspa lisów jest podobno prawdziwym dla nich rajem. Są tam źródła, skały, lasy, słowem wszystko, co lisy lubią; żywności dostarcza im codziennie ich opiekun. Mogą więc żyć szczęśliwie i swobodnie aż do chwili, dopóki handlarze nie zapotrzebują ich futer.

Przypominamy o wczesnem ODNOWIENIU PRENUMERATY, na kwartał III-ci dla uniknienia zwłoki w przesyłce Pisma.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rocznie rs. 4, z przesyłką pocztową rs. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna. Rocznie w Austrii 10 koron, w Prusach marek 10; — stosownie do tego półroczna i kwartalna.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10 NOWY.

TRZĘŚĆ: Kaplica Matki Boskiej Ostrobramskiej na Cejlonie (z ryc.) — Improwizacya Deotyiny. — Panna Marychna z Oporowa przez A. z Ch. Borkowską. — Koza (z ryc.) — Sfinks lodowy, przez Juliusza Verne'a, przekład M. D. — Z dalszego świata. Dodatek: O uprzejmym kocie, wiersz (z ryc.) — Pogadanka z wujem. — Dosia. — Wieszcza bzu. — Łamigłówni i rozwiązania. — Skrzynka do listów. Dodatek książkowy: Wśród chmur i słońca, przełożyła z angielskiego Marya B.

WIECZORY RODZINNE



O UPRZEJMYM KOCIE.

Pan kogut zachorował i to nie na żarty
Leży biedak w łóżeczku i strasznie narzeka.
Pan kot usłyszał o tem, więc tknięty współczuciem
Chce odwiedzić chorego i długo nie zwleka.
Nałowił pełen koszyk ślicznych, tłustych myszy,
Ubrał się jak najpiękniej i wszedł do chorego.

Kogut wita uprzejmie, kot pyta o zdrowie
I oddaje podarek co przyniósł dla niego.
„Panie! — zawoła kogut — dziękuję serdecznie!
Dla pana jest to przysmak, lecz mnie by zabiło!”
Dobre chęci nie starczą gdy rozumu braknie,
Nie wszystkim jedno zdrowo ani nawet miło.

J...a.

POGADANKA Z WUJEM.

Właśnie skończyła się lekcya czytania z ciocią, i Władzio składał książki do szuflady w stoliku, gdy turkot bryczki przed gankiem zwrócił jego uwagę.

— To Mateusz zajechał — zawołał chłopiec, spojrzawszy przez okno — pewnie wujaszek pojedzie z wizytą, albo do miasteczka.

— Ani z wizytą ani do miasteczka — odpowiedział wuj, wchodząc do pokoju — ale za rzekę do sianokosów, i, jeżeli ciocia pozwoli, możesz jechać ze mną, bo piękny widok przedstawia ta zbiorowa i pożyteczna praca ludzi.

— Czy cioteczka pozwoli? — zapytał Władzio, a w głosie jego drżała obawa o możliwą odmowę.

— Owszem, moje dziecko, nie mam nic przeciwko temu, byłeś pilnym i starannym, zasłużyłeś więc na nagrodę. Tylko uważaj i nie zamocz nóg, bo na łąkach bywa zwykle wilgotno.

— Dziękuję i przyrzekam być grzecznym! — zawołał uszczęśliwiony chłopiec, a ucałowawszy obie ręce dobrej cioci, jednym skokiem wybiegł przed dwór, gotów już do drogi.

— Bodaj z wielkiego pospiechu, zapomniałeś o kapeluszu — zauważył wuj.

— Ach prawda, jaki ja roztrzepany, ale bo tak się cieszę, taki rad jestem, że jadę dziś z wujaszkiem — tłó-

(Dalszy ciąg).

maczył się mały, wracając po konieczne od słońca nakrycie głowy.

W chwilę potem bryczka ruszyła z przed ganku. i woźnica skierował konia na drogę, prowadzącą ku rzece, Tu już czekała Władzia pierwsza przyjemność przeprawiania się promem na drugi brzeg rzeki, co stanowiło dla niego nowość zupełną.

Od kilku już dni piękna pogoda wyjątkowo sprzyjała sprzętowi siana, a woń skoszonych traw nappełniała dookoła powietrze, czyniąc je dziwnie lekkim i miłym do oddychania.

Władzio patrzył dokoła z wielkiem zajęciem, wszystko zaciekawiało go, o wszystko wypytywał wujka, który chętnie udzielał mu objaśnień, tłumacząc cel każdej czynności, zajmującej na obszernych łąkach kilkudziesięciu ludzi i parę drabiniastych wozów z końmi. Najdłużej zatrzymali się przy stawianiu stogów, w których siano miało być zachowane może przez większą część zimy.

Jak ta robota szła zręcznie i szybko, jak wszystko działo się w porę, a jaka przytem była wesołość ogólna! niby to praca ciężka, a niby znowu zabawa.

— Czy oni się wcale nie męczą, wujaszku? — zapytał wreszcie zdziwiony chłopiec.

— Każde... , choćby nawet najcięższa, mniej nas utrudza, skoro bieramy się do niej z chęcią i zamiłowaniem; a lud nasz wiejski sprzęt siana ogólnie lubi, czego przyczynę szukać należy w pięknej porze wiosennej, która, budząc całą przyrodę do życia, i na nas ludzi zbawieniny wpływ swój wywiera.

Tu wujaszek oddalił się nieco, by potrzebne wydać rozporządzenia, a Władzio tymczasem spostrzegł nieopodal krocącego poważnie bociana.

— Co za pyszna sposobność przyjrzenia się temu ptakowi — zawołał. — Chodź-no bliżej! chodź tu, boćku, ja ci nic złego nie zrobię! Jakie to śliczne czerwone masz buty na swych wysokich, cieniutkich nogach, a i dziób twój nie jest wcale szpetny, niby bardzo długa przekrajana marchewka, tylko, że pewnie o wiele jest twardszy od niej. Sukienka twoja biała i płaszczyk czarnych skrzydeł na grzbiecie podobają mi się bardzo. Wyglądasz też pocziwie, więc dobrym musisz być z natury. Ciekawy tylko jestem, poco tu przyleciałeś? Czy chciałbyś trochę sianka? Bierz, bierz, ile ci tylko potrzeba, żebyś głodnym nie był, wujaszek nie będzie ci go żałował, jest go tutaj tak wiele!

— Kogoż to moim sianem częstujesz? — zapytał wuj, który, nadchodząc, usłyszał ostatnie słowa Władzia.

— Bociana, wujaszku, bo myślę, że po nic innego nie przyleciałby tutaj na łąkę...

— Przeciwnie, mój drogi, bociany nie dbają wcale ani o trawki, ani o rośliny żadne, pożywienie ich bowiem stanowią różne drobne żyjące stworzenia, których najwięcej na polach i łąkach znajdują.

— To on dlatego tak uważnie patrzy dokoła! A jaką przytem niewinną nastraja minę, jakby nikomu nie złego nie zamyślał zrobić! — zawołał z oburzeniem chłopiec.

(d. c. n.)

I wyrzekłszy to, pan Osnolski wyszedł spiesźnie, aby nie słuchać dalszej prośby żony. Pani O. siedziała długo zamyślona. Nagle w zawieszonym wprost niej na ścianie lustrze odbiło się przeciwległe okno od ogrodu i ujrzała z przerażeniem głowę mężczyzny, wychylającą się z cieniu drzew. Krew skrzepła w jej żyłach, chciała wzywać pomocy, ale nie była w stanie głosu z piersi wydobyć.

— Wielki Boże! co mam robić — pomyślała — ten człowiek nie powinien się nawet domyślać przerażenia mego... I czyniąc nadludzki wysiłek, przybrała wyraz pozornego spokoju, lubo zdało jej się, że widzi w ręku przybysza rewolwer, ku niej zwrócony.

Pewną była, że za najłżejszem jej poruszeniem spuści odwiedziony kurek. Nastąpiła dla niej chwila śmiertelnej trwogi. Wstrzymując oddech, śledziła człowieka, który niebawem wzniesioną rękę spuścił. Mniemał zapewne, że go nie dostrzegła, a może rozbroił go wyraz słodczy, rozlanej na tej młodej i łagodnej twarzy.

— Nie mam czasu do stracenia — pomyślała znów pani O. — muszę mu spojrzeć w oczy, choćby odwagę taką życiem przypłacić przyszło. Jedyne środki ocalenia dla mnie, jeśli tego człowieka wzruszyć zdołam. Drżąc jak liść, wstała z kanapy, i z wyrazem spokoju i stanowczości zbliżyła się do okna. Widząc wejrzenie jej, na siebie zwrócone, przybysz cofnął się.

— Skoro dziecka nie miałem sposobności pochwycić ona paść musi ofiarą — szepnął — niech mąż jej wie, że potrafię powetować krzywdy naszych żon i dzieci. Gdy jednak spojrział na dobrą, młodą kobietę z takim spokojem patrzącą mu w oczy, stanął onieśmielony jej wzrokiem, nie wiedząc co począć.

— Nie, ona nie może pokutować za winy męża — myślał znowu — wszak nie wyrządziła nam nigdy krzywdy, i owszem, wspomaga nas, gdy może i zniknął w cieniu drzew w chwili właśnie, gdy na korytarzu rozległy się kroki powracającego właściciela fabryki.

Wszedłszy, pan O. zdziwił się, widząc żonę stojącą przed oknem i zwracającą upornie wzrok w jedną stronę.

— Załatwiłem wszystko — wyrzekł, lecz nie odbierając odpowiedzi, zawołał strwożony:

— Na Boga! co ci jest? co się stało? — pytał.

Nawet głos męża, pełen trwogi, nie mógł rozbudzić pani O. ze stanu osłupienia; stała na miejscu, jakby w ziemię wrosła, wzrokiem błędnym wodząc dokoła.

— Co ci się przytrafiło? — pytał znów pan O. z największą troskliwością. — Czy cię kto przestraszył? Cemu to okno otwarte? co w niem widziałas tak straszne? Pójdę je zamknąć.

Ale zaledwie krok jeden postąpił, młoda kobieta rzuciła się ku niemu gwałtownie, jakby go chciała zastrzelić przed niewidzialnem niebezpieczeństwem i zawołała:

— Mnie niech zabiją, nie ciebie!

I nie mogąc znieść dłużej tak silnych wstrząśnień moralnych, padła bez zmysłów.

Pan O. położył ostrożnie na sofie zemdloną, następnie zamknął okno, spojrział znów dokoła, a nie widząc ni-

kogo. zaczął znów ratować nieprzytomną żonę. Po chwili biedna kobieta odetchnęła głęboko i otworzyła oczy.

— Czy czujesz się lepiej, najdroższa moja? — zapytał, pochylając się nad nią.

— Jestem zupełnie zdrową — odparła z westchnieniem. — Ale có mi było? Ach! przypominam sobie — dodała przerażona — ten człowiek z bronią w ręku, w tem oknie... Czy widziałeś?

— Nie rozumiem cię — odparł pan O. — kogo miałem widzieć? może to było z twej strony przywidzenie chorobliwej wyobraźni?

— Przywidzenie! — powtórzyła smutnie młoda kobieta — dałby Bóg, iżby tak być mogło! Groziło nam dziś pewno wielkie niebezpieczeństwo...

I w słowach urywanych opowiedziała mężowi, co zaśzło przed chwilą.

— Bóg łaskaw — zawołał pan O. z oburzeniem, że, dzięki twojej przytomności umysłu, zabrakło widocznie temu człowiekowi odwagi do spełnienia złego czynu, ale nie mogę nawet myśleć o tem, że ci groziło niebezpieczeństwo, a mnie nie było, aby je od ciebie odwrócić!

Widząc silne rozdrażnienie żony, poprowadził ją do pokoju dzieciennego, gdzie oboje pochylił się nad łóżeczkiem śpiącej słodko i spokojnie córeczki.

— Jak ślicznie nasz aniołek wygląda! — zawołała matka, patrząc z tkliwością na uśpioną dziewczynkę.

Pan O., widząc, że wyraz ciężkiego niepokoju ustąpił z twarzy żony, wyszedł pocichu, iżby przekonać się, czy drzwi pozamykane i czy będą mogli bez obawy nowej napaści udać się na spoczynek.

*

*

*

(d. c. n.)

WIESZCZKA BZU.

(Dalszy ciąg).

Nagle Szafirka usłyszała jakiś słaby pisk, zatrzymała szczygły i rozejrzała się. Tuż koło niej na krzaku tarniny siedział szary ptak z zakrzywionym dziobem i czarną kresą przez oczy. Trzymał małeńkie pisklę, które wbijał na kolce.

— Precz, okrutniku! — krzyknęła oburzona Szafirka.

Spłoszony ptak odleciał, a Szafirka, zdjąwszy ostrożnie pokaleczone pisklę, wzięła je ze sobą i wróciła do Niezabudek. Tam pracowała i uczyła się pilnie, a Szkarłatka panowała dalej po swojemu.

IV.

Straszna noc.

Zachodzące słońce zabłysło pełnem światłem i ukryło się za chmury, krwawiąc jakąś złowrogą barwą niebo. Szkarłatka siedziała w altance z kwitnącego bzu. Wszystkie panny dworskie były koło niej i usiłowały ją zabawić i rozweselić. Wtem na progu stanęła bladoliliowa Skabioza.

— Dostojna pani — zawołała z przerażeniem — stała się rzecz straszna, jaskółki z całego ogrodu zebrały się i замуrowały wróbla w gnieździe, które, jak powiadają, nieprawnie zajmował.

— Jakto — zapytała zdumiona Szkarłatka — замуrowały go?

— Tak, miłościwa pani, był ich cały tłum; wołały, że skoro sprawiedliwości uzyskać nie mogą, same ją sobie wymierzają.

Szkarłatka osłupiała, przypomniawszy sobie skargę, którą tak dorywczo osądziła.

— Niech się wszystkie ptaki zbiorą — rzekła, ochłonawszy trochę; — nakażę im, aby ukarały zuchwałę jaskółkę, które sprawiają zamieszanie, zamiast odwołać się do mnie.

Czerwona Firletka wybiegła z rozkazem.

— Co za hardość! — myślała wzburzona Szkarłatka — nigdy by mi na myśl nie przyszło, że jaskółki zdobyć się mogą na taką śmiałość.

Wtem czerwona Firletka wróciła i stając pomieszana przed księżną, zawołała:

— Miłościwa pani, między ptasim rodem straszne wzburzenie. Wszystkie ptaki narzekają, żeś je wydała na pastwę łupieżcom, że się wcale nie troszczysz o ich bezpieczeństwo. A przewodzi im sikorka, której pisklęta Dzierzba srokosz porwała i wbiła na kolce tarniny.

— Cóż to, bunt — wykrzyknęła Szkarłatka — któż to podburzył ptaki? Czy sobie wyobrażają, że ja kazałam Dzierzbie porwać i zamęczyć pisklęta sikory?

— Ależ Dzierzba jest znaną z tego okrutnego zwyczaju, a wiedzą, że za twojem pozwoleniem tu przebywa.

— Niesforne ptaki! Trzeba przynajmniej pilnować, żeby to się nie rozeszło dalej do innych zwierząt. Konwalio, postaw straż przy stawie i pilnuj, żeby nie podburzono ryb. A ty, Ostróżko, znajdź jakiego posłańca, którego chcę wysłać do księżny Zamorskiej. Upewniała mnie niedawno o swojej przyjaźni i przysłała ambasadora Kanarka, którego przyjęłam jak najgrzeczniej. Chcę ją prosić o pomoc dla poskromienia nieposłusznych.

Wkrótce potem gołąb pocztowy pofrunął w stronę cieplarni ks. Zamorskiej, a Szkarłatka, mocno zaniepokojona takim obrotem rzeczy, pomyślała, że może wypadnie zjednać księżnę jakim podarunkiem i, wzięwszy klucz, pobiegła do skarbcza.

Ale jakież tu straszny widok uderzył jej oczy, widocznie złodzieje zakradli się do wieżyczki, gdyż mnóstwa klejnotów brakowało, a inne były strasznie poniszczone. Na ramie okienka widniały ślady ptasie. Szkarłatka teraz dopiero spostrzegła, że zostawiła okienko otwarte.

— O, cóż ja powiem wieszczce — zawołała, załamując ręce — czemuż mi się zachciało oglądać klejnoty! Czyż mogłam zgadnąć, że i między ptakami znajdują się także złodzieje; któżby się tu inny mógł dostać?

Zmartwiona Szkarłatka zeszła na dół, łamiąc sobie głowę, jakby wysledzić sprawcę kradzieży.

W namiocie niebieskim czekała już na nią biała Konwalia bardzo wyleknioma.

(d. c. n.)

SZARADA.

Pierwsze tak
Z pierwszym wspak
Imię z kalendarza —
Drugie wspak z drugim tak —
Imię to powtarza.
Wszystko tak,
Wszystko wspak.
Toż imię raz trzeci,
Odgadnijcie dzieci.

ŁAMIGŁÓWKA W KWADRACIE.

ułożył Jakób Z. dla siostrzyczki Stefci.

1. Ptak
2. Zwierzę
3. Ptak
4. Zwierzę
5. Ptak
6. Ptak

W kwadracie o 6-ciu podziałkach zastąpić kropki literami, aby litery, oznaczone liczbami, złożyły nazwę stolicy państwa europejskiego. 1) Ptak z rodzaju grzebiących, pochodzi z Azji. 2) Zwierzę ssące morskie. 3) Zwierzę z rodzaju niedźwiedzi, zamieszkuje w norach ziemnych. 4) Zwierzę z rzędu szczurowatych. 5) Ptak śpiewający. 6) Ptak brodzący.

Sylaby: Ba—del—bor—kró—sło—bo—żant—fin—suk—lik—wik—cian.

REBUSIK.

ułożył Aleksander Ster.

ielkich ielkich ielkich ielkich	ja ja ja ja ja	dy ro
ielkich ludzi ielkich	ja sła ja	
ielkich ielkich ielkich ielkich	ja ja ja ja ja	

ROZWIĄZANIE DO N-ru 24-go

Szarady: Ja — maj — ka.

Łamigłówny zgłoskowej:

- 1) Cagliari. 2) Haracz. 3) Oporto. 4) Dyabeł. 5) Kacyk. 6) Irawadi. 7) Euterpe. 8) Wacław. 9) Ifikrates. 10) Ciołek. 11) Zamoyski.

Chodkiewicz i Żółkiewski.

Łamigłówny w kwadracie:

A n t y l o p a
A m b r o z y a
B ł a w a t e k
E l i z e u s z
P a w ł o w s k
P a r t e n o n
S ł o w a c k i
A r a g o n i a

Skrzynka do listów.

Galicyance. Radzi jesteśmy, że nie poprzestając na pierwszym liściku, przypomnieliś sobie o nas powtórnie. Prenumeratorów w Galicyi mamy liczną gromadkę, tylko nie wszyscy utrzymują z nami korespondencję. Rozwiązanie zadań dobre.

M. K. Przysłane rs. 3 na kolonie letnie otrzymaliśmy, za pamięć i pozdrowienia dziękujemy serdecznie.

Zagadkę i logogryf *Aleksandra Sterl.* postaramy się pomieścić w niedługim czasie, o ile tylko zostaną uznane za odpowiednie do druku, jak również zagadkę, logogryfy i łamigłówny: *Czarnej mrówki, Jakóba Zw. Zosi i Rózi L. i Jaworyny.*

Dobre rozwiązania zadań nadesłali: *Sokół* z nad Wisły, *Munio J., Poziomka, Tygrys* z Abisynii, *Mały ptaszek* i *Słowik.*

Dziękuję ci mały *Słowiku* za twoją miłą odezwę i za to, że mnie „kochaną jaskółką” nazywasz, bo ja nie tylko pozwalam, ale bardzo proszę, aby kochani moi korespondenci nie nazywali mnie inaczej. Jestem pewną, że polubię cię bardzo, bo i twój pseudonym i list podobały mi się bardzo. Nie zapominaj tylko o jaskółce i korzystając z wakacji pisuj do niej czasami.

Stefci Młod. prześlemy brakujące numera dodatku powieściowego, Redakcja prosi tylko o dokładny adres. Jak to dobrze, że cię Wieczory zajmują i że chociaż taka młodzieńka, czytasz cały numer ze zrozumieniem i zajęciem,

W *Czarnej mrówce* odnajduję Figlarną koteczkę, ale dlaczego ta zmiana pseudonimu? Żądanie twoje, mam nadzieję, że zostanie uwzględnione, bo Redakcja dawniej już nad tem myślała, tylko różne okoliczności stawały na przeszkodzie. Nie wiem jeszcze czy łamigłówny twoje są dobre, czy też potrzebują jakich poprawek bo chociaż zapytywałam o nie w Redakcyi, nie otrzymałam dotąd odpowiedzi.

A teraz słówko do was wszystkich kochani moi korespondenci starsi i młodszy i do was wszystkich mili czytelnicy Wieczorów.

A to słówko to serdeczne życzenia *Wesołych wakacji!* Po roku mniej lub więcej uciążliwej pracy jakże pożądanym i oczekiwanym ten kilkotygodniowy wypoczynek.

Niechże on wam upłynie zdrowo i przyjemnie, byście z jesienią z nowym zasobem sił i ochoty zabrali się do nauki.

Ale o książce nie mówmy teraz... ciemne gaje, słoneczne łąki wabią nas i nęcą, z wesołym więc uśmiechem i piosenką podążajmy w pola i lasy pełną piersią zaczerpnąć świeżego powietrza. I raz jeszcze życzenia wesołych, dobrych wakacji przyjmijcie od szczerze wam życzliwej:

Jaskółki.

SZKOŁA BUCHALTERYJNA.

Nauczyciel szkoły handlowej Kronenberga, p. Gustaw Chwat, otrzymał zezwolenie na otwarcie w Warszawie szkoły buchalteryjnej z kursem jednorocznym i wykładami dziennymi i oddzielnymi wieczornymi.

Wykłady dzienne odbywać się będą codziennie od 9-ej rano do 1-ej pp. i przeznaczone są dla osób ze średnim wykształceniem, pragnących w najkrótszym czasie zdobyć najważniejsze wiadomości handlowe.

Wykłady wieczorne odbywać się będą co drugi dzień od 6-ej do 9-ej i przeznaczone są dla osób, w ciągu dnia zajętych. Przedmioty wykładowe te same jak i na wykładach dziennych.

Zapisy przyjmują się do 8-go lipca przy ulicy Niecałej Nr. 1, potem przy ulicy Nowy Świat Nr. 26.